

Szanowni Państwo,

100 lat temu, dokładnie 24 czerwca 1926 r., papież Pius XI powołał młodego biskupa diecezji katowickiej Augusta Hlonda na metropolitę gnieźnieńsko-poznańskiego, czyniąc go zarazem Prymasem Polski. To wydarzenie miało miejsce w bardzo trudnym dla naszego kraju okresie, w którym rezonowały jeszcze skutki przewrotu majowego.

W najnowszym wydaniu „Kuriera Historycznego IPN” wspominamy tę postać z uwagi na duże zasługi oddane Kościołowi katolickiemu na Ziemiach Zachodnich. To on stworzył w 1945 r., pomimo sprzeciwu Episkopatu Niemiec, nową strukturę organizacyjną Kościoła rzymskokatolickiego, która stanowiła fundament dalszego rozwoju

katolicyzmu na tych ziemiach. To on pielgrzymował po Pomorzu Zachodnim w 1947 r., poznając jego nowych mieszkańców. To on założył w 1932 r. zgromadzenie zakonne księży chrystusowców, którzy po wojnie przybyli nad Odrę i Bałtyk, odgrywając ważną rolę w procesie integracji społeczeństwa z duchowieństwem.

Mam nadzieję, że lektura przygotowanych dla Państwa tekstów rozbudzi chęć bardziej szczegółowego zgłębiania życiorysu kard. Hlonda.

Z tą nadzieją życzę wszystkim Czytelnikom miłej lektury!

Krzysztof Męciński
Dyrektor Oddziału IPN
w Szczecinie

Prymas August Hlond (1881–1948)

Wizjoner Kościoła katolickiego w Polsce

Jan ŻARYN

Cały życiorys prymasa Polski Augusta Hlonda (1881–1948) świetnie nadaje się na scenariusz wspaniałego filmu fabularnego a szczególnie wybrane okresy z jego życia. Poza innymi cechami, życiorys ten dotyczy człowieka, który swoimi decyzjami nie tylko wyprzedził czas dany mu przez Stwórcę, ale także uutorował drogę polskiemu Kościołowi katolickiemu na przyszłość, by mógł zmierzyć się z nadchodzącymi wyzwaniami.

Do niezwykle trudnych okresów życia Augusta Hlonda należało już dzieciństwo i młodość chłopca, pochodzącego z ubogiej rodziny kolejarskiej na Górnym Śląsku, mającego jedenaścioro rodzeństwa (w sumie 9 utrzymało się przy życiu). W wieku 12 lat trafił do zakonu salezjanów ks. Jana Bosko w Turynie. Zakon ten, także dzięki Augustowi Czartoryskiemu, w sposób szczególnie promował Polaków z uboższych rodzin, by dać im poprzez edukację szansę awansu społecznego i wprowadzić na drogę kapłaństwa. Młody August nie zawodził; nie tylko wszedł do zgromadzenia, ale nadto szybko rozpoczął w nim karierę kapłańską. Po uzyskaniu doktoratu w 1900 r. na Uniwersytecie Gregoriańskim został wysłany do domu salezjańskiego w Oświęcimiu, gdzie kolejno był: asystentem, nauczycielem, sekretarzem dyrektora, dyrygentem chóru i orkiestry, w końcu redaktorem „Wiadomości Salezjańskich”. Już w 1907 r. został dyrektorem kolejnej placówki wychowawczej w Przemyślu, a następnie od 1909 r. w Wiedniu. Uczynił wiele dla tamtejszych domów salezjańskich, pozostając w latach 1919–1922 prowincjałem zakonu na obszarze dawnej monarchii austro-węgierskiej.

Prymas Niepodległej Polski

Miał 41 lat gdy został mianowany administratorem apostolskim na Górnym Śląsku, w części należącej do Odrodzonej Polski. Zorganizował diecezję z jej stolicą w Katowicach, powołał tygodnik „Gość Niedzielny” – do dziś cieszący się wyjątkową popularnością. W 1924 r. założył Ligę Katolicką, zorganizował koronację Matki Boskiej Piekarskiej, do której pielgrzymują mężczyźni z całej Polski. Po podpisaniu konkordatu w 1925 r. między Stolicą Apostolską a rządem RP został mianowany pierwszym biskupem katowickim. Długo nie zabawił na Górnym Śląsku, gdyż już w następnym roku – 24 czerwca 1926 r., nadal młody ks. August został arcybiskupem poznańskim i gnieźnieńskim, a zarazem Prymasem Polski. W następnym roku – kardynałem. Ta błyskawiczna kariera pracowitego i uzdolnionego kapłana wróżyła Polsce długie prymasostwo, tym cenniejsze, że Polacy katolicy odzyskali po ponad 120 latach niepodległość, a dobre relacje między państwem i Kościołem sprzyjały rozwojowi katolicyzmu, w parafiach, w szkołach, w domach zakonnych, w niezliczonych formach organizacyjnych i zadaniach duszpasterskich kształtujących mo-



Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

ralność wszystkich stanów, klas i zawodów.

W latach 1926–1939 prymas wielokrotnie zabierał głos w sprawach publicznych, w tym w listach pasterskich, m.in. piętnując niemoralne skutki uprawiania władzy państwowej przez obóz sanacyjny („O chrześcijańskie zasady życia państwowego”), czy też piętnując zwolenników obozu narodowego za czynne znieważanie Żydów, jednocześnie przypominając: „Problem żydowski istnieje i istnieć będzie, dopóki Żydzi będą Żydami”.

Jego maryjność zaowocowała licznymi pielgrzymkami stanowo-zawodowymi na Jasną Górę, ślubami – w tym młodzieży akademickiej, w maju 1936 r. Wspierał rozwój nauki społecznej Kościoła (m.in. na KUL-u), patronował dziełom niezwykle aktywnych kapłanów-moderatorów, wspierających katolików świeckich budujących przestrzeń publiczną w duchu społecznych encyklik papieskich. W dobie kryzysu lat 30. XX wieku czynił starania, m.in. w ramach powołanej przez siebie Rady Społecznej, by nie tylko ulżyć najuboższym (rozwijając działalność charytatywną Kościoła w ramach „Caritas” i szerzej w Akcji Katolickiej), ale także by intelektualnie i moralnie piętnować przejawy egoizmu klasowego warstw posiadających, jak i przestrzegać przed błędami ideologii socjalistycznej (także realnego komunizmu).

Ciąg dalszy na stronie II



Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Jednak, w perspektywie długiego trwania narodu polskiego, jedna jego decyzja wydaje się być szczególnie ponadczasowa. Dnia 26 maja 1931 r. Stolica Apostolska nadała kardynałowi tytuł protektora emigracji polskiej, domykając w ten sposób starania prymasa by mógł objąć swą duszpasterską opieką wychodźstwo, modląc się po polsku niemal na wszystkich kontynentach świata. W celu niesienia pomocy placówkom misyjnym założył w 1932 r. zgromadzenie zakonne, Towarzystwo Chrystusowe dla Polonii Zagranicznej (tzw. Chrystusowcy): „Chcemy, by Polacy wszędzie mieli swoich kapłanów, którzy zrozumieją ich serca i przypomną im, kim są.” – pisał Prymas. Nie mógł przewidzieć, że w wyniku II wojny światowej polska diaspora powiększy się o kolejne miliony przymusowych emigrantów. Ich ewentualny powrót pod władzę sowiecką musiał skończyć się – często po raz kolejny – pobylem w łagrach lub w komunistycznych więzieniach w Polsce Ludowej.

Wojenny tułacz

Do wyjątkowego czasu prymasostwa Augusta Hlonda na pewno należy okres II wojny światowej i powojnia. Kard. August Hlond wyjechał z Polski we wrześniu 1939 r, pod dosłownym ostrzałem wojsk niemieckich i udał się do Watykanu na wyraźną prośbę władz II RP. Celem jego niebezpiecznej podróży było poinformowanie Stolicy Apostolskiej o rzeczywistym położeniu społeczeństwa katolickiego napadniętego przez Niemcy i od początku

w sposób nieludzki traktowanego. Po przybyciu do Rzymu został przyjęty przez papieża Piusa XII, opracował raport, a jego spotkanie z Piusem XII skutkowało tym, że papież zdążył jeszcze zamieścić akapit o prawach Polski do niepodległości w swej pierwszej encyklice, którą ukończył i ogłosił w październiku 1939 r. Drugi raport napisany w kolejnym roku wraz z ks. Zygmuntem Kaczyńskim, który został przyjęty przez papieża w marcu 1940 r., wydał także w języku angielskim. Prymas udzielał się medialnie, m.in. w Radiu Watykańskim, w prasie włoskiej, piętnując agresora i domagając się sprawiedliwości dla narodu polskiego.

Niemcy odmówili kardynałowi prawa do powrotu do Poznania, więc stał się osobą ważną, „modną”, porządkującą przestrzeń medialną, w której także rozbrzmiewał głos niemieckiej tuby propagandowej. Ambasada III Rzeszy przy Watykanie od początku interweniowała, by zamknąć usta prymasowi. Ostatecznie, w przeddzień przystąpienia Włoch do wojny, w 1940 r., kardynał jako *persona non grata*, musiał opuścić Wieczne Miasto. Wybrał Lourdes, gdzie zdążali pielgrzymi. Docierali tam również Polacy, m.in.: z okupowanego kraju. Prymas spotykał się z nimi. Jak pisał w październiku 1940 r. do prezydenta RP Władysława Raczkiewicza: „przez trzy miesiące przesunęły się przez mój pokój setki i setki uchodźców, emigrantów, wojskowych, którzy byli wdzięczni za słowa otuchy i wiary”. Przebywając w Lourdes utrzymywał

▲ Kard. August Hlond podczas uroczystości religijnej. W tle obraz Matki Boskiej Piekarskiej.

► Kard. August Hlond przewodniczył procesji na Jasnej Górze w Częstochowie

stały kontakt Polskim Czerwonym Krzyżem, a także z Polską Misją Katolicką w Lyonie oraz z ks. rektorem Wojciechem Rogaczewskim, powołanym przez niego do organizacji Centrali Duszpasterstwa Polskiego we Francji (w części nieokupowanej), niosącej pomoc uchodźcom. Nawiązał także kontakt z Marią Winowską (1904–1993), pisarką katolicką, która wydawała wówczas w podziemiu francuskim pismo pt. „Słowo”. Prymas zamieszczał tam pod pseudonimem swoje artykuły. Stałe przygotowywał siebie i naród do chwili zakończenia wojny i konieczności odbudowy Ojczyzny.

Przebywając u boku Maryi, jak się wydaje, kreślił przyszłość swojej prymasowskiej posługi w kraju. Z jego zapisków wynika, że prymas zdawał sobie sprawę, iż pozorna bezczynność na którą został skazany, jeśli zostanie dobrze zagospodarowana, może przynieść większe owoce, niż czynność nieuporządkowana. Modlitwa stała się zatem siłą, która pozwoliła mu na właściwe odczytywanie kolejnych znaków. Jeszcze w czasie wojny musiał opuścić Lourdes, co i tak nie uchroniło

go przed aresztowaniem. W 1944 r. Niemcy zatrzymali prymasa Hlonda i zaproponowali mu współpracę, na gruncie poszukiwania wspólnego celu jakim było niedopuszczenie bolszewizmu do bram Europy. Kardynał nie tylko odmówił współpracy, ale także odmówił im prawa do kreowania siebie jako obrońców cywilizacji europejskiej. Został za to aresztowany i przewieziony do jednego z klasztorów w głębi Niemiec, skąd wyzwolili go wojska amerykańskie w kwietniu 1945 r.

„Pełnia prymasostwa”

Tak nazwał ostatnie lata posługi kardynała prof. Jerzy Pietrzak, wybitny znawca biografii prymasa Polski. Kardynał natychmiast udał się do Rzymu, po drodze jedynie wstępując do ambasady RP na uchodźstwie we Francji, do Kajetana Morawskiego by poinformować go, iż podjął decyzję o powrocie do Polski. Nie wszyscy byli zadowoleni z jego decyzji. Już w maju 1945 r. został przyjęty przez papieża Piusa XII, a następnie wielokrotnie spotykał się z nim oraz z jego najbliższymi współpracownikami mons. Janem Montinim, późniejszym Pawłem VI, oraz mons. Domenico Tardinim, późniejszym kardynałem i sekretarzem stanu za czasów pontyfikatu Jana XXIII. Przedmiotem rozmów była przyszłość Polski i Polaków, żyjących także w rozproszeniu – nie ze swej winy – na całym świecie. Udało mu się za zgodą Piusa XII ustanowić bp Józefa Gawlinę opiekunem duszpasterstwa emigracyjnego, początkowo na całe Niemcy, a *de facto* po kilku



Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

latach nad całą Polską rozszalała się emigracja. Zwierzchnikiem bp Gawliny, rezydującego przy rzymskiej świątyni polskiej pw. św. Stanisława, pozostał prymas August Hlond – co miało łączyć katolików w kraju i na emigracji. Mianowanie późniejszego arcybiskupa Gawliny opiekunem emigracji, wobec możliwości utraty łączności z krajami za „żelazną kurtyną”, miało olbrzymie znaczenie, wykraczające poza doraźną konieczność. Warto bowiem pamiętać, że na samym terytorium byłej III Rzeszy, czyli Niemiec i Austrii, przebywało w maju 1945 r. co najmniej 1,2 mln Polaków, wycieńczonych wojną i zadających sobie pytanie: „wracać, nie wracać?”; polscy „dipłomiści” to nie tylko Polskie Siły Zbrojne liczące w chwili zakończenia wojny ok. 225 tys. żołnierzy i oficerów, to głównie byli więźniowie obozów koncentracyjnych (w tym księża z KL Dachau), to robotnicy przymusowi, więźniowie stalagów i oflagów, ludzie schorowani i często od lat żyjący bez sakramentów i bez kapłana. Dzięki decyzjom papieskim z maja 1945 r. powstała struktura duszpasterstwa emigracyjnego dla Polaków mieszkających w Niemczech.

W kolejnych latach i dziesięcioleciach polska emigracja utrzymywała swoje przywiązanie do Ojczyzny, dzięki obecności w świątyniach. Emigracja w każdym zakątku świata przygotowywała się, a następnie uczestniczyła w uroczystościach Millennium chrztu Polski. W Londynie ponad 40-tysięczny tłum Polaków obecnych na stadionie White City w maju 1966 r. uczestniczył w centralnych obchodach w Wielkiej Brytanii, o czym rozpisывała się miejscowa prasa. Podobnie, w USA 3 maja w Nowym Yorku i we wrześniu 1966 r. w Chicago, Polonia zainteresowała Amerykę dziejami ich Ojczyzny i losem narodu pozostającego pod okupacją sowiecką. Dzięki tej stałej obecności polskiego Kościoła na uchodźstwie kolejne pokolenia emigrantów, także z pokolenia „Solidarności” i Unii Europejskiej stale mogą modlić się po polsku. To wielka zasługa kardynała Augusta Hlonda i jego następców.

Prymas podjął decyzję powrotu do kraju, a nie mogąc przewidzieć czy będzie mógł komunikować się z Rzymem, wystarał się o specjalne pełnomocnictwa papieskie. Otrzymał je w lipcu 1945 r. Obejmowały one m.in. prawo do mianowania administratorów apostolskich na całym terytorium Polski, *in tutto il territorio polacco* – a więc także na Kresach utraconych, i – jak to interpretował – na pozyskanych ziemiach zachodnich i północnych. W kolejnych latach pełnomocnictwa te zostały mu poszerzone m.in. o opiekę nad pozostałymi obrządkami katolickimi w kraju: unickim i ormiańskim, tępionymi przez NKWD grasujące nadal na ziemiach polskich, o opiekę nad katolikami pozostającymi w ZSRS oraz nad zgromadzeniami zakonnymi, męskimi i żeńskimi. Prymas Polski był też przewodniczącym Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski, z prawem podejmowania decyzji dotyczących relacji państwo – Kościół. Cieszył się w Watykanie olbrzymim zaufaniem.

W kraju zaś czekali na niego komuniści, formacja wyjątkowo przebiegła, którzy z perspektywy kardynała prędzej czy później mieli podjąć walkę z Kościołem by zniszczyć jego struktury, pozbawić majątku, a być może także pozbawić życia niejednego kapłana. Takie były doświadczenia Kościoła Powszechnego, w tym polskiego, znającego praktyki bolszewickie zza miedzy od 1918 r. Zarówno wojna 1920 r. jak i dwie okupacje sowieckie z lat wojny oraz powojenny los ziem wschodnich, kazały przewidywać iż podobne cele i praktyki staną się udziałem katolików w Polsce. Na razie, mimo zerwania konkordatu przez Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej we wrześniu 1945 r., komuniści zajęli walką z podziemiem i z PSL Stanisława Mikołajczyka, niejako „zawiesili broń na kołku” w walce z Kościołem. Dało to prymasowi niezbędny czas na wzmocnienie organizacji kościelnej. Otrzymane pełnomocnictwa pozwoliły prymasowi na sprawne leczenie ran Kościoła na ziemiach polskich, zadanych mu przez okupantów. Z rąk okupanta niemieckiego zginęło bowiem ponad 20 proc.



Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

▲ Kard. August Hlond wraz z metropolitą krakowskim Adamem Stefanem Sapiehą

◀ Kard. August Hlond wraz z seminarzystami Towarzystwa Chrystusowego w Potulicach



Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

jenna rozbiła doszczętnie wszelkie ramy diecezjalnej organizacji życia kościelnego. Rezydencje ordynariuszów niemieckich wraz z kuriami i ich archiwami uległy zniszczeniu. Środków materialnych potrzebnych do rozpoczęcia prac organizacyjnych nie było żadnych. Przede wszystkim zaś beznadziejnie wyglądała sprawa duchowieństwa polskiego, bez którego niemożliwa była wszelka praca kościelna. Na całym obszarze ziemi lubuskiej i Pomorza Zachodniego zastano tylko jednego kapłana, blisko 80-letniego starca”. Także wybór stolicy administratury, czyli Gorzowa Wielkopolskiego, a nie Szczecina, był podyktowany wyjątkowym stanem tego miasta. Szczecin został bowiem totalnie zniszczony, mieszkało w nim w sierpniu 1945 r. zdecydowanie więcej Niemców niż Polaków, a mimo objęcia samorządu miasta przez Polaków, nadal na tych terenach rządziło NKWD. Przyszłe losy Szczecina i okolic wobec roszczeń niemieckich komunistów nie był jeszcze, zdaniem prymasa, rozstrzygnięty. Ta odważna decyzja kardynała, ustanowienia administratury apostolskich, owocowała nie tylko wyjazdem dotychczasowych niemieckich rządców diecezji, ale także możliwością natychmiastowego przejęcia majątku kościelnego (zanim zostałby ukradziony przez administrację rządową, jako

kapłanów, brakowało zatem duszpasterzy. Niemcy zniszczyli także – głównie w Warszawie – świątynie, a rzesze ludności cywilnej musiały odnaleźć swoje rodziny, rozpocząć nowe życie – często bez ojców i dzieci, wyjść z wojennej traumy.

Dzięki szerokim pełnomocnictwom, już w sierpniu 1945 r., prymas podjął węzłową acz ryzykowną decyzję ustanawiając administratorów apostolskich na ziemiach zachodnich i północnych, a zatem na obszarach niemieckich, na których nadal „rządził” konkordat III Rzeszy ze Stolicą Apostolską z 20 lipca 1933 r. Stolica Apostolska mimo nacisków ze strony Episkopatu Niemiec ostentacyjnie uznała podział administracji kościelnej na tymczasowo przyznanych w Poczdamie ziemiach zachodnich, dokonany samodzielnie przez prymasa Polski. Polityka faktów dokonanych stała się dla prymasa normą. Jak wiadomo, dyplomacja

watykańska szanowała pierwszeństwo politycznych rozstrzygnięć pokojowych, do których doszło w tym przypadku dopiero w grudniu 1970 r. Już jesienią 1946 r. podczas pobytu prymasa w Rzymie papież nadał kardynałowi nowe pełnomocnictwa, co zdaniem ambasadora rządu RP na uchodźstwie Kazimierza Papee miało świadczyć o jego wyjątkowej roli: „Można powiedzieć, że Kościół polski uzyskał prawie pełną – oczywiście *ad notum amovibilem* [z możliwością ich odwołania – J.Ż.] – niezależność i samowystarczalność, a tym samym możliwie najlepsze wyposażenie i przygotowanie na ewentualną fazę prześladowania. Ze taka pełnia władzy kościelnej musi wpłynąć też na samopoczucie Prymasa i wzmocnić Jego kompleks interrexu nie ulega chyba wątpliwości. Równocześnie, o ile wiem, odparł idące już i przygotowywane jeszcze ataki kleru niemieckiego

na Polskę i zażegnał grożącą stąd w Watykanie burzę”. Innymi słowy nominacje prymasa dotyczące ziem zachodnich i północnych ocenił po latach, mons. Domenico Tardini w rozmowie z ambasadorem: „Stało się tak jednak bardzo szczęśliwie, gdyż w przeciwnym wypadku mielibyśmy jeszcze większe trudności. [...] Chodzi więc o pewnego rodzaju *culpa felix* [szczęśliwa wina – J.Ż.]” – komentował ambasador.

Największą nową jednostką administracji kościelnej została administratura obejmująca 1/6 terytorium powojennego państwa polskiego ze stolicą w Gorzowie Wielkopolskim. Obejmowała ona obszar od środkowej Odry, przez Szczecin, Kołobrzeg i Koszalin, po Słupsk. Administratorem został mianowany ks. Edmund Nowicki, który tak opisywał stan Kościoła na powierzonych mu terenach dawnych diecezji niemieckich: „Pożoga wo-

majątek „porzucony” lub „mienie poniemieckie”) i przeprowadzenia realnego osadnictwa polskiej społeczności wypędzonej z Kresów na mocy porozumień PKWN ze Stalinem. „Wskutek tego [braku księży – J.Ż.] ludność zaczęła radzić sobie sama. – wspominał ks. Nowicki – Na stacjach przeszukiwała np. pociągi wiozące repatriantów i upraszała przejeżdżających księży o pozostanie na miejscu. Gdy prośby nie skutkowały zabierano kapłanom ich bagaż i w ten sposób zmuszano do przerwania podróży”.

Polacy z Kresów nie chcieli osiedlać się na obcych ziemiach, z niemieckimi kranami w budynkach, bez polskiego kapłana. Bez możliwości pójścia do kościoła, uczestniczenia w nabożeństwach, przyjmowania Eucharystii. Decyzją kard. Hlonda pozwoliła zatem na szybszą obsadę stanowisk, instalację seminariów i przejście opuszczonych świątyń protestanckich – tymczasowość zamieniał w stałość. Na ziemiach zachodnie i północne, prymas wysłał zakonników, m.in. z Towarzystwa Jezusowego (Jezuitów) oraz z poznańskiego Towarzystwa Chrystusowego, traktując ten obszar także jako misyjny. Bez wątpienia dzisiejszą polskość ziem zachodnich i północnych zawdzięczamy prymasowi Augustowi Hlondowi, któremu należy wystawić tam nie jeden pomnik. Żadna administracja rządowa pozostająca pod auspicjami komunistów nie miałaby tej zdolności osadzenia polskich migrantów na obcej im ziemi.

Myślał także kardynał o katolikach cierpiących na wschodzie, za sowiecką granicą. Wspierał grekokatolików z ich polskiej diecezji, głównie przemyskiej – m.in. zapraszając ich do udziału w konferencjach Episkopatu Polski (przed wojną odmawiali swego udziału). Podjął też ważne decyzje personalne ustanawiając, za zgodą Stolicy Apostolskiej, nowych biskupów, w tym w Lublinie bpa Stefana Wyszyńskiego, w Łodzi bpa Michała Klepacza, czy sekretarza Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski bpa pomocniczego w Warszawie Zygmunta Choromańskiego. Ważną decyzją natury organizacyjnej było powołanie przy nowym sekretarzu Episkopatu Polski Biura Sekretariatu Episkopatu. Już wkrótce stało się ono najpoważniejszym partnerem w rozmowach z władzą państwową i komórką interwencyjną na rzecz poszanowania praw Kościoła w Polsce: „Pogłoski zagraniczne o jakimś rozdzieleniu w Episkopacie Polski są zupełnie bezpodstawne. W rzeczy samej nigdy nie byliśmy jeszcze tak solidarni jak obecnie. Czegoś podobnego nie ma w żadnym innym kraju. Podzieliłiśmy sobie role i prawdopodobnie to wprowadza w błąd powierzchownych obserwatorów” – pisał w połowie 1948 r. prymas Hlond do bpa Gawliny.

Uporządkowanie kwestii organizacyjnych, w tym m.in. odbudowa świątyń, seminariów, przywrócenie prasy diecezjalnej spełniającej funkcje informacyjno-urzędowe (w sumie kurie wydawały 64 tytuły) oraz reaktywowanie – jeszcze w czerwcu 1945 r. – kościelnej organizacji charytatywnej „Caritas”, oraz licznych

► Kard. August Hlond i o. Ignacy Posadzy – przełożony generalny Towarzystwa Chrystusowego

stowarzyszeń, zamknęło pierwszy okres powojenny, naznaczony leczeniem ran zadanych Kościołowi przez okupację, a jednocześnie wzmacnianiem przed spodziewanym atakiem ze strony nowych uzurpatorów. Szczególnie ważną okazała się pomoc materialna prowadzona przez Kościół (w tym na ziemiach zachodnich), czyli jedyną organizację wiarygodną dla darczyńców (szczególnie zachodnich). W sumie, w 1949 r. na 5975 parafii oddziały „Caritas” istniały w 4189 placówkach, należało do nich ok. 800 tys. wiernych. (Przykładowo, we wszystkich placówkach członkowie „C” udzielali pomocy otwartej, z której korzystało w 1949 r. blisko 1 mln podopiecznych). Za czasów prymasa Hlonda wprowadzono religię do szkół powszechnych, reaktywowano także większość katolickich szkół zakonnych, domów opieki, burs czy domów dziecka, itd. Niemal w każdej parafii istniały rozbudowane formy duszpasterskiej aktywności: Sodalicje Mariańskie, Katolickie Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej i Żeńskiej, czy też koła ministrantów i duszpasterstwa akademickie (jak przykładowo w łódzkiej parafii prowadzonej przez ks. Jezuitów z o. Tomaszem Rostworowskim na czele, czy warszawskiej św. Anny z ks. Władysławem Padaczem).

Prymas zdawał sobie sprawę z czekającej Kościół konfrontacji. Jednym z jego celów było zatem wzmocnienie stanu wiary umęczonego wojną narodu. Dnia 8 września 1946 r. na Jasnej Górze odbyło się uroczyste poświęcenie Narodu Niepokalanemu Sercu Maryi. Uroczystość stanowiła dla prymasa początek przygotowań Episkopatu Polski do obchodów milenijnych w 1966 r. (Jak wiadomo, podjął je następca Augusta Hlonda, abp Stefan Wyszyński). Na bieżąco zaś, uroczystość stanowiła ważną mobilizację modlitewną Polaków, którzy po raz kolejny odkryli, że Jasna Góra stanowi duchową stolicę Polski. W styczniu 1947 r. doszło do sfałszowania wyborów, co uświadomiło narodowi, że jedynie Kościół stał się ostatnią fortecą i sferą wolności. Świadczył o tym przebieg uroczystości jasnogórskich w pierwszej rocznicę wspomnianego poświęcenia Narodu. Przybył Episkopat Polski oraz wierni w liczbie ponad 500 tys. pielgrzymów. Przemawiali biskupi, prymas, bp Michał Klepacz i abp Stefan Wyszyński. Mur klasztoru wyznaczał granicę wolności, za nim – jak pisał Ryszard Terlecki – panowały komunistyczne rządy: „w ciągu dnia skupienie modlących się zakłócało wesołe miasteczko, hałasujące karuzela i głośnie muzyka”. Prymas August Hlond spotykał się z ludźmi podziemia i przedstawicielami świata polityki, w tym w działaczami podziemnego Stronnictwa Narodowego, a szczególnie legalnego PSL z Mikołajczykiem na czele i Stronnictwem Pracy Karola Popiela oraz ks. Zygmunta Kaczyńskiego. Kapłanem zalecał wycofanie się z działalności podziemnej,



Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

starając się by ujawniając się, nie narażali się na aresztowanie (udało się to w przypadku ks. Władysława Matusa z SN, który otrzymał od Kościoła nową tożsamość i niemal do końca PRL nie został namierzony przez szukających go funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa). Po sfałszowanym referendum i likwidacji chadeckiego SP patronował rozmowom katolików, których celem było powołanie przed wyborami nowej partii katolickiej. Gdy jednak w październiku 1946 r. rozmowy ugrzęzły we wzajemnych utarczkach, przeciął je jednoznacznie dowodząc, że Komisja Główna Episkopatu Polski nie jest zainteresowana powstaniem partii katolickiej, gdyż warunki polityczne nie dają gwarancji jej suwerenności. Realizm polityczny prymasa wkroczył jednoznacznie w jego optymistyczną naturę! Wydaje się, że kard. Hlond wsparł w ten sposób Stanisława Mikołajczyka i jego partię PSL, która cieszyła się powszechną sympatią i wsparciem ze strony społeczeństwa.

Także ostatnia decyzja umierającego prymasa była niezwykle trafna, a jej skutki do dziś są odczuwalne. Nagła śmierć kardynała wstrząsnęła Episkopatem Polski, czemu m.in. dał wyraz bp lubelski Stefan Wyszyński notując pod datą 22 października 1948 r. w swoich zapiskach: „A teraz coś się zaważyło. Runął mur oporowy. Kto teraz będzie antemurale?” – czyli przedmurzem chrześcijaństwa broniącym Europę przed barbarzyńcą moskiewskim. Nie wiedział, że sam nim będzie! Pod datą 12 listopada 1968 r., kardynał Stefan Wyszyński, wspominając w Rzymie swego poprzednika w 20. rocznicę nominacji prymasowskiej, zanotował z kolei w dzienniku: „Nigdy, nawet w myśli, nie porównywałem się z wspaniałym Kardynałem A. Hlondem. On był demokratą duchem, a ja – demokratą sytuacyjnym. On miał w sobie Godność, a ja nieudolność, która ośwładnęła Polskę w tych czasach, był »Primas sicut Populus« [jaki był lud wierzący takiego miał i władce (w wersji pozytywnej)] – J.Ż.] [...] W Instytucie przy Cavallini zbierają się księża z życzeniami na 20-lecie.

Przemawia – w czasie obiadu – abp poznański [Antoni Baraniak]. W odpowiedzi odsłaniając nieco tajemnic sprzed 20 laty, jak planowała Konferencja Episkopatu po pogrzebie kard. Hlonda i na Konferencji w Krakowie (16 XI 48). Decyzja zapadła – okazuje się – wcześniej i była wywołana prośbą kard. Hlonda, wysłana z łoża śmierci do Ojca św. przez swego sekretarza, ks. Baraniaka”.

Decyzja przekazana na łożu śmierci przez kardynała Hlonda, swemu sekretarzowi, ks. Baraniakowi, drogą bezpośrednią dotarła do Watykanu. Ojciec św. podjął decyzję zgodną z wolą umierającego kardynała 16 listopada 1948 r., zanim jeszcze dotarła do niego delegacja polskich biskupów. Ci ostatni zaś dotarli do Rzymu 11 grudnia 1948 r. i przywieźli do kraju zgoda inną decyzję od uzgodnionej podczas posiedzenia Komisji Głównej Episkopatu Polski. Ta proponowała by papież mianował prymasem abp Walentego Dymka, przywracając jednocześnie unię personalną Poznania z Gnieznem, a arcybiskupem warszawskim by mianował dotychczasowego biskupa lubelskiego Stefana Wyszyńskiego. Ten bieg zdarzeń świadczył m.in. o tym jak papież Pius XII cenił zmarłego kardynała, wiedząc iż nikt lepszej decyzji co do następstwa mu nie przyniesie. Jednocześnie wiemy, jak trafny był to wybór. Duchowa głębia prymasa Hlonda kazała mu także przewidzieć przyszłość Ojczyzny. Tak zanotowano jego słowa wypowiedziane na łożu śmierci, w szpitalu ss. Elżbietanek na warszawskim Mokotowie: „Zwycięstwo, gdy przyjdzie, będzie to zwycięstwo Najświętszej Maryi Panny”.

Zmarły prymas cieszył się wielkim autorytetem w narodzie, o czym świadczył przebieg uroczystości pogrzebowych. Tłum warszawiaków (także katolików przybyłych z całej Polski) prowadził kondukt żałobny po gruzach stolicy odprowadzając kardynała – zgodnie z jego wolą – do ruin katedry św. Jana. Jeszcze wiosną 1947 r. prymas August Hlond powołał do życia Prymasowską Ra-

dę Odbudowy Kościołów Stolicy (w sumie planowano odbudować 55 świątyń zburzonych przez Niemców), w skład której weszli m.in. architekci i konserwatorzy zabytków. Wybór miejsca pochówku przez prymasa stanowił zobowiązanie dla jego następcy i polskich katolików by odbudowano starą Warszawę, z jej zabytkami, w tym szczególnie z kościołami.

Prymasostwo kard. Augusta Hlonda – jak pisał o tym także jego następca – było naznaczone ufnością i pewnego rodzaju stałym optymizmem. Dzięki temu, tak przed jak i po wojnie, mógł prymas dokonać tak wiele, przede wszystkim patronując szerzeniu się wiary w polskim narodzie. Po wojnie, gdy warunki zdawały się być dużo trudniejsze, ten optymizm pozwalał mu na reaktywowanie struktur kościelnych, samodzielne mianowanie administratorów i biskupów, sięgając po młode pokolenie kapłanów. Jeszcze jesienią 1946 r. będąc w Rzymie dowodził, że czas komunizmu w Polsce Ludowej kiedyś się skończy, jego zdaniem wkrótce. Tu się mylił, ale nie mylił się w ocenie żywotności narodu: „Aczkolwiek [prymas] zdaje sobie sprawę z trudności, które piętrzą się obecnie w Polsce, oraz z tych, które przyniesie zapewne najbliższa przyszłość, jednak na przyszłość dalszą zapatruje się ufnie, powiedziałbym nawet optymistycznie. Pogląd ten opiera z jednej strony na wewnętrznych wartościach Narodu, w którym dorastają i dojdą do głosu szczególnie dodatnie jednostki w młodym pokoleniu, z drugiej zaś strony na szybko postępującym, jego zdaniem, rozkładzie wewnętrznym Rosji” – notował ambasador RP rozmowę z kardynałem z grudnia 1946 r. Po sfałszowanych wyborach ten optymizm nie zniknął z twarzy Augusta Hlonda, choć warunki trwania i rozwoju katolicyzmu w Polsce zaczęły napotykać na coraz poważniejsze rafa.

■ Autor jest historykiem, publicystą, działaczem społecznym, profesorem Instytutu Historycznego Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie.

„Ani w lewo, ani w prawo, tylko wzrokiem ku Bogu”

Czy kardynał August Hlond był politycznym pragmatykiem?

Tomasz SIKORSKI

W styczniu 1926 r. po długiej i ciężkiej chorobie zmarł pierwszy prymas odrodzonej Polski, kard. Edmund Dalbor – kapłan zasłużony dla sprawy polskiej, gorący patriota, unikający konfliktów politycznych. Nie była to jednak wybitna osobowość, indywidualność tej miary i formatu, jak choćby abp. Adam książę Sapieha, czy doskonale od dawna odnajdujący się na salonach politycznych kard. Aleksander Kakowski. Zarówno w Episkopacie, jak i w Stolicy Apostolskiej zastanawiano się, kto powinien zostać następcą zmarłego prymasa.

Sprawa nie była łatwa także ze względu na uwarunkowania polityczne. Przeżywająca chroniczną zapaść polska demokracja, po dokonaniu 12 maja 1926 r. przez Józefa Piłsudskiego zamachu stanu, legła w gruzach. Piłsudski wraz ze swoim obozem politycznym, dokonując rewolucji bez rewolucyjnych konsekwencji, przejął pełnię władzy. Nowy reżim z upływem czasu stworzył rodzimą wersję autorytaryzmu, z roku na rok dryfującego w kierunku dyktatury, zachowującej jedynie dekoracyjne formy demokratyczne i parlamentarne.

Od samego początku w polskim Episkopacie opinie na temat Marszałka i jego obozu były podzielone. Oprócz zdeklarowanych sympatyków narodowej prawicy i chadecji, znajdowali się biskupi życzliwie ustosunkowani wobec Piłsudskiego, jak również neutralni wobec spóularyzowanej sceny politycznej. Po śmierci prymasa Dalbora, tak na łamach prasy, jak i w kręgach duchowieństwa spekulowano kto mógłby zostać jego następcą na zbliżające się trudne czasy. Zdecydowana większość poznańskiej opinii publicznej godnego następcę zmarłego prymasa upatrywała w wikariuszu generalnym bp. Stanisławie Łukomskim, który już od miesięcy zarządzał archidiecezją poznańską i gnieźnieńską. Na giełdzie nazwisk pojawił się jeszcze prowincjał zakonu jezuitów o. Stanisław Sopucha, ceniony rekolekcjonista i kaznodzieja. Sporo mówiło się o szansach bpa. podlaskiego Henryka Przeździeckiego, który nie krył swoich prawicowych poglądów, deklarując się również jako zwolennik przywrócenia monarchii. Nie wykluczono też, że prymasem mógłby zostać dominikanin o. Jacek Woroniecki, znakomity intelektualista, znawca to-mizmu, etyki chrześcijańskiej, jeden z nestorów polskiego katolicyzmu społecznego. Nikt nie kwestionował

walorów intelektualnych o. Woronieckiego, pytanie, czy w tamtym, jakże trudnym czasie te aktywa mogły okazać się decydujące?

W ocenie Stolicy Apostolskiej i papieża Piusa XI dominowało przekonanie, aby nie udzielać nominacji duchownemu krytycznie nastawionemu wobec Piłsudskiego i sanacji. Nie chciano w ten sposób wciągać Kościoła w otwarty konflikt z nowym rządem. Racje i pragmatyzm Piusa XI wydawały się jak najbardziej uzasadnione. Należało więc znaleźć duchownego neutralnego tak wobec narodowej prawicy, jak i Piłsudskiego. Początkowo wydawało się, że papież postawi na o. Sopucha. Niektórzy historycy Kościoła uważają nawet, że taka decyzja zapadła, dopiero później Stolica Apostolska z niej się wycofała. Dlaczego? Nie było jednej przyczyny, a co najmniej kilka. Pierwsza, może prozaiczna, to sprzeciw jaki zgłosił wobec o.

Sopucha dobrze ustosunkowany w Watykanie generał jezuitów Włodzimierz Ledóchowski. Czy jego opinia przeważała? Tego nie wiemy, ale zapewne była brana pod uwagę. O. Sopucha nie był też specjalnie rozpieszczany przez endecką prasę. Zarzucano mu germanofilizm oraz bliską znajomość z Piłsudskim. Dlatego papież nie mając pewności, od wyboru o. Sopucha odstąpił. Uznał najpewniej, że powinien postawić na duchownego uwolnionego od sporów politycznych, niekojarzonego z koteriami partyjnymi, w sprawach politycznych raczej milczącego, a jednocześnie pozwalającego współegzystować polskiemu Kościołowi w nowych realiach pomajowych.

Wybór padł na salezjanina, ordynariusza katowickiego abp. Augusta Hlonda. Zapewne atutem była tutaj znajomość Piusa XI z Hlondem, ale nie to było najważniejsze, a jak zauważył Krzysztof Krasowski „trzeźwa kalkulacja”. Nowy prymas miał z jednej strony kontynuować wyznaczone przez Piusa XI cele pontyfikatu, z drugiej dawać gwarancję nie wciągania polskiego Kościoła w spory i konflikty polityczne. Przyszły prymas bez wątpienia miał kilka atutów, aktywów, których nie dało się nie zauważyć i przejść wobec nich zupełnie obojętnie. Uchodził za dość sprawnego organizatora, realizatora „polityki

papieskiej”, był też zorientowany w nauczaniu społecznym Kościoła. Przede wszystkim jednak mówiono wszem i wobec, że jest apolityczny. I to chyba przeważało.

Prof. Jerzy Pietrzak już kilka dekad temu postawił pytanie, czy prymas Hlond był zwolennikiem sanacji? Postawił i odpowiedział na nie, choć nie w sposób jednoznaczny, pozostawiając czytelników ze znakiem zapytania. Myślę, że dziś, gdy od artykułu prof. Pietrzaka upłynęło już ponad 40 lat warto byłoby rozstrzygnąć inny dylemat – czy Hlond był pragmatykiem politycznym? Czy w obszarze polityki był „dyplomata” grającym na kilku różnych nastrojonych fortepianach. Nie chodzi oczywiście o jakąś polityczną kakofonie, ale o próbę zastanowienia się nad taktyką prymasa. Taktyką, którą należałoby również ocenić.

Sprawa pierwsza, kluczowa – to stosunek abp. Hlonda do przewrotu majowego. Tutaj niestety możemy jedynie poruszać się w sferze spekulacji i domniemywań. Nie wiemy bowiem, jaki był stosunek abp. Hlonda do Piłsudskiego i jego obozu politycznego, dodajmy obozu lewicy, gdzie oprócz ludzi ambiwalentnie nastawionych wobec religii i Kościoła, znajdowali się także zaciekli antyklerykałowie. Trudno powiedzieć, czy abp. Hlond uważał, że zamach, przewrót dokonany przez

Piłsudskiego był bezalternatywny. Czy był próbą ratowania demokracji, czy może jej demontażu? Choć wiadomo było, że abp Hlond był krytyczny wobec parlamentarnych form rządzenia, niedostosowanych do polskich realiów, a nadto jeszcze obyczajom politycznym sprzed maja 1926 r. Będzie jeszcze o tym mowa. W każdym razie to były pewne punkty wspólne w rozumowaniu Piłsudskiego i abp. Hlonda. Można być pewnym jednego, a mianowicie, że prymas krytycznie ocenił „przelew krwi bratniej” w maju 1926 r. Nie wyobrażam sobie, że mogło być inaczej.

Zadanie, a właściwie zadania przed jakim stanął nowy prymas było niełatwe. Nie dosyć na tym, że musiał uspokoić sytuację w Episkopacie, zintegrować go, wyciszyć antyrządowe nastroje, to jeszcze miał świadomość, że musi się zmierzyć się z nowymi realiami. Patrząc z szerszej perspektywy w tej pierwszej sprawie, mimo, że należał do zwolenników centralizacji, koncentracji władzy w Kościele, zamknąć ust wszystkim biskupom mu się nie udało. A jak wyglądało jego zmaganie się z „nowymi realiami” Polski sanacyjnej? Najogólniej rzecz ujmując różnie, a więc i niejednoznacznie. Ten obraz „polityki” Hlonda jest zatem wielobarwny.

Naczelnik Państwa marszałek Józef Piłsudski na Jasnej Górze w Częstochowie w październiku 1921 r. (Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe)

Jeszcze w maju 1926 r. papież Piusa XI pobłogosławił Marszałka i nowy rząd. Był to jednak wyłącznie gest kurtuazyjny. Nie było mowy o ewangelicznym rozgrzeszeniu za przelew krwi bratniej. W pierwszych miesiącach po przewrocie abp. Hlond w zasadzie milczał, nie komentował bieżącej sytuacji, ani posunięć sanacyjnych władz, włącznie z przyjętą w sierpniu nowelizacją konstytucji. Bardziej wylewni byli inni członkowie Episkopatu. Krytycy Marszałka, jak choćby abp.: Józef Teodorowicz i Sapieha oraz biskupi: Przeździecki, Łoziński, Augustyn Łosiński. W swoich przekonaniach, a pewnie i uprzedzeniach pozostali niezmienni. Z kolei kard. Kakowski, doskonale obyty jak chyba nikt na salonach, skłonny był zadeklarować publicznie poparcie dla władz sanacyjnych i to w obecności prezydenta Ignacego Mościckiego, który zjawił się w sierpniu 1926 r. na I Ogólnopolskim Zjeździe Katolickim.



Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

► Kard. August Hlond podczas uroczystości nadania prezydentowi Ignacemu Mościckiemu tytułu honoris causa Uniwersytetu Poznańskiego

Ciąg dalszy na stronie VI ►



◀ Kard. August Hlond w towarzystwie abp. Adama Sapiehy i kard. Aleksandra Kakowskiego oraz Macieja Rataja

Bodaj po raz pierwszy prymas Hlond nawiązał do aktualnej sytuacji politycznej na początku listopada 1926 r., podczas kolejnego zjazdu katolickiego. Wyraził się krytycznie o ośmioletniej Niepodległej, nie zostawił suchej nitki na partyjniactwie, prywacie, walkach politycznych, które niszczyły państwo. Nawiązując do maja 1926 r. prymas nie udzielił oficjalnego poparcia sanacji, mówił jedynie o majowym „przesileniu duszy polskiej”, konieczności wznieśienia się ponad podziały, domagał się od „czynników państwowych” wypowiedzenia otwartej wojny kierunkom i prądom wywrotowym – od komunizmu, laicyzmu po masonerię. Deklarował też, że jako sternik Kościoła odsunie duchowieństwo od polityki, w zamian oczekiwał, że nowy reżim poprze jego wizję „Polski katolickiej”. Słowa prymasa Hlonda spotkały się z różnymi ocenami w Episkopacie. Niektórzy duchowni uważali, że okazana Piłsudskiemu życzliwość i kredyt zaufania są błędem.

Tymczasem w początkach grudnia 1926 r. sprzyjająca endecji prasa ogłosiła, że podczas obrad hierarchii kościelnej, które miały miejsce na przełomie listopada i grudnia tegoż roku, wydano specjalny komunikat krytycznie oceniający pierwsze miesiące rządów sanacji. Taki obrót sprawy siłą rzeczy musiał wywołać zaniepokojenie w sferach rządowych. 17 grudnia 1926 r., ukazał się w prasie list abp. Hlonda do Piłsudskiego, w którym kardynał deklarował pełną i szczerą lojalność wobec państwa i rządu, oczywiście dla dobra ojczyzny i Kościoła. List spotkał się z krytyką niemałej części Episkopatu. Abp Sapieha napisał wprost, że wywołał on w społeczeństwie fatalne wrażenie. Prymas osiągnął jednak swój cel. 29 grudnia wydano tzw. okólnik Bartła wprowadzający do szkół religijne praktyki. Umocniło

to w przekonaniu abp. Hlonda, że należy uwolnić się spod nacisków partii politycznych, włączyć się w realizację „celów państwowych”, a przede wszystkim zabezpieczyć dobro Kościoła i katolickiej wspólnoty.

Do kolejnej próby sił doszło już podczas kampanii wyborczej do Sejmu. W Episkopacie nadal istniała „fronda”, która wyraźnie opowiadała się za oficjalnym poparciem narodowej, katolickiej prawicy. Prymas był odmiennego zdania. Pierwotną wersję listu do wiernych w sprawie wyborów abp. Teodorowicz miał uzgadniać z Romanem Dmowskim, który w grudniu 1926 r. zorganizował Obóz Wielkiej Polski, a zaraz później broszurą pt. Kościół, naród, państwo zapowiedział ewolucję obozu Narodowej Demokracji w kierunku narodowo-katolickim. Dezyderaty Dmowskiego były abp. Hlondowi obce, nie oznacza to jednak, że nie utrzymywał on relacji z politykami

endecji. Wręcz przeciwnie w swojej „polityce” miał powierników i nie raz radził się np. profesorów: Stefana Dąbrowskiego i Stanisława Kasznicy. Obaj związani byli ze sprzyjającym endecji Stronnictwem Chrześcijańsko-Narodowym (Dąbrowski zasilł nawet później szeregi Stronnictwa Narodowego). Ale to „drobiazg”. W każdym razie prymas Hlond przedredagował pierwotną wersję listu. Teraz był on bardziej ogólny, a zatem i w swojej treści otwierający pole do spekulacji. Krytykowano w nim partyjniactwo, egoizmy polityczne. Idealny poseł i senator miał służyć państwu, narodowi i Kościołowi. Oczywiście w grę wchodził jedynie katolik. Okazało się, że taki projektowany model „dobrego katolika” odpowiadał większości stronnictw centroprawicowych, a i dużej części kandydatów Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem (BBWR), na listach którego znaleźli się choć-

by konserwatyści. Trudno zarzucić prymasowi złe intencje, chciał raczej uspokajać nastroje, tyle, że w kampanii wyborczej poszczególni kandydaci prześcigali się w udawaniu, że są prawowiernymi katolikami, przez co cierpiał autorytet Kościoła. Niewiele pomogły sprostowania, wyjaśnienia i uzupełnienia do listu, które składali poszczególni biskupi. Wywoływało to jeszcze większy zamęt.

Tuż przed wyborami – 7 grudnia 1927 r. prymas zdecydował się na bądź co bądź kurtuazyjną wizytę w Belwederze. Zapewniał Marszałka, że jego celem było zjednoczenie katolików, a nie partii katolickich, a zatem nie miał zamiaru rozpętać walki z rządem. Wszystkiemu bacznie przyglądała się Stolica Apostolska, dla której kwestia wewnętrznych walk partyjnych w Polsce była wtórna wobec pozycji Kościoła w państwie. Stąd nie oceniano gabinetów

politycznych z punktu widzenia politycznego, a ich światopoglądowego nastawienia do religii i Kościoła. Zresztą to zupełnie zrozumiała optyka.

Wyniki wyborów do Sejmu i Senatu z 1928 r. oznaczały, że pragmatyczna taktyka prymasa Hlonda zwyciężyła. Wpływy dotychczasowych zwolenników politykowania w Episkopacie wyraźnie osłabły. Doskonale było to widać podczas obrad nadzwyczajnej konferencji Episkopatu zwołanej w Gnieźnie we wrześniu 1928 r. Dokonano wówczas swoistego bilansu ostatniego prawie dziesięciolecia. I nie chodziło tylko o kondycję polskiego katolicyzmu, sytuację wewnątrz Kościoła, ale i o błędy i zaniechania rozpolitykowanych kapłanów. Dla prymasa wzorem był ponadpartyjny „kapłan państwowiec”, choć akurat tego zwrotu użył bp. Przeździecki, do niedawna jeszcze jeden z „polityków w sutannie”. Patrząc szerzej prymasowi zależało, aby Kościół nie mieszał się w politykę, ale też ważył racje udzielając ewentualnego poparcia sanacji. Kluczowa była ocena reżimu przez pryzmat interesów Kościoła i wiernych.

Zatem siłą rzeczy pragmatyczna linia jaką obrał kard. Hlond przypominała sinusoidę. W sprawach łamania praworządności, czystek w armii, administracji, wprowadzania nowych praktyk i obyczajów sejmowych prymas nierzadko milczał. Z drugiej strony wysyłał memoriał, pisał listy krytykujące niektóre posunięcia rządu, domagano się dymisji niektórych ministrów – np. Sławomira Czerwińskiego, który dokonał konwersji na kalwinizm. Postawienie tych racji na szali nie rozstrzygnie, która z nich przeważa.

Do zasadniczego przełomu nie doszło również po „przejęciu wła-



► Przemarsz kard. Augusta Hlonda przed kompanią honorową nieopodal pałacu biskupiego

dzy” przez tzw. „pułkowników” – najwierniejszych z wiernych Marszałka. Polityczna zwrotnica wyraźnie została przekierowana na kurs ku dyktaturze. Prymas znów pozostał w milczeniu, gdy niszczone resztki demokracji i praworządności. Nie solidaryzował się z katolikami w obozie narodowym, nie mówiąc już o Centrolewie, gdzie dostrzegał jedynie „siedlisko antyklerykalnej lewicy”. Gdy aresztowano posłów opozycji i osadzono ich w Brześciu, memoriały i listy do prymasa wysyłali politycy, profesura, inteligencja. Choć kard. Hlond miał pełną świadomość skali terroru, brutalności, agresji i sadyzmu Wacława Kostki-Biernackiego, przez długi czas milczał publicznie. Historycy tłumaczą to często jego ostrożnością – wolał wstrzymać się z reakcją do czasu, aż opadną polityczne emocje, a zarzuty zostaną poparte niezbłą dokumentacją.

Podczas kampanii wyborczej w 1930 r., w orędziu skierowanym do wiernych kard. Hlond apelował, aby pamiętali o spoczywającym na nich obywatelskim obowiązku i poszli do urn i zagłosowali na tych kandydatów, którzy dają gwarancję realizacji interesów państwowych i obrony świętej wiary katolickiej. Była tam mowa o szkodliwych dla państwa „wywrotowcach”, co odczytywano jako głos przeciw zjednoczonej opozycji centrolewicowej, która zresztą w wyborach poniosła sromotną porażkę. Z kolei poparcie wprost obozu narodowego mogło oznaczać, jak pisał kard. Kakowski „małą korzyść a wielkie straty”.

Taktyka prymasa Hlonda w sprawie brzeskiej zaczęła dzielić członków Episkopatu. Jego Komisja Prawna przygotowała nawet odezwę polskiego Kościoła w tej sprawie. Prymas nie godził się jednak na ostre i stanowcze wystąpienie. Ostre, ponieważ mowa tam była o potępieniu niebываłej skali bezprawia, brutalizacji życia publicznego i ograniczania konstytucyjnie gwarantowanych praw obywatelskich. Prymas nadal pozostawał nieugięty i nie zamierzał ulegać presji. Ostatecznie uzgodniono, że do sprawy brzeskiej prymas nawiąże w przygotowywanym już od jakiegoś czasu liście pasterskim – O chrześcijańskie zasady życia państwowego. Nawet abp. Teodorowicz, rzecznik stanowczego i jednoznacznego wystąpienia Kościoła w sprawie brzeskiej skłonny był wierzyć w to, że list, choć spóźniony nawiąże „przejrzyscie” do Brześcia. Gdy o planach kard. Hlonda dowiedziały się władze sanacyjne zapanała konsternacja. Co nie powinno dziwić, treść dokumentu owiana była przecież tajemnicą. Władysław Skrzyński – poseł RP w Rzymie informował Warszawę, że Episkopat może tym razem zająć nie tylko antyrządowe, ale i antypaństwowe stanowisko. Sugerował też Piłsudskiemu, aby ten beceremonialnie zmienił kurs wobec polskiego Kościoła.

Wszystko to zbiegło się w czasie z debatą na temat nowelizacji prawa małżeńskiego. Projekt zrywał z oparciem małżeństwa na prawie wyznaniowym, wprowadzał urzędy stanu cywilnego, dopuszczał rozwody, a sprawy o unieważnienie małżeństwa, separacji i rozvodu miały



Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

być przekazywane sądom powszechnym. Kościół tym razem zareagował wyjątkowo ostro i zdecydowanie. Dostrzegał w nowelizacji planowany zwrot w kierunku laicyzacji narodu. Prymas Hlond porównywał reformę do ustawodawstwa bolszewickiego. Projekt potępiła Akcja Katolicka, grzmiała cała prawica – od narodowców, chadeków po konserwatystów. Presja katolickiej opinii publicznej była ogromna. Druga strona, przynajmniej na początku nie zamierzała odpuszczać. Minister Janusz Jędrzejewicz przestrzegał przed wszczynaniem wojny religijnej, która nikomu na dobre nie wyjdzie, ale już w styczniu 1932 r., podczas debaty sejmowej bronił jedynie rządu, od projektu prawa małżeńskiego się dystansując. W tej sytuacji istniały obawy, czy prymas zostanie poddany do opinii publicznej. Kard. Kakowski przekonywał członków Episkopatu, że nie powinno się „dolewać oliwy do ognia”. Zgola odmiennie – abp. Teodorowicz, który radził kard. Hlondowi, aby „się nie uląkł” i „nie milczał służalczo”. Można sądzić, że właśnie głos abpa. Teodorowicza przekonał prymasa, że dłużej już milczeć nie można.

Datowany na 23 kwietnia 1932 r. list prymasa – *O chrześcijańskie zasady życia państwowego był wykładnią katolickiej nauki o państwie*, zgodną z nauczaniem Leona XIII i jego następców, oczywiście z uwzględnieniem polskich warunków. Nie ma tutaj miejsca na jego szczegółowe omówienie. Kluczowe było odrzucenie przez prymasa totalitarnych prądów epoki, ale i „fałszywego liberalizmu”. Prymas przypominał, że każda władza pochodzi od Boga, co nakłada na rządzących ogromną odpowiedzialność moralną przed Stwórcą. Podstawowym zadaniem i ograniczeniem władzy państwowej jest troska o dobro wspólne

obywateli, a zatem rządzenie przeciwko interesom państwa i narodu jest nadużyciem. List sprzeciwiał się teorii, wedle której państwo jest najwyższym źródłem prawa i moralności (państwo jako cel sam w sobie). Prymas bronił praw jednostki, rodziny oraz Kościoła przed zakusami państwowego monopolu. Potępiał makiawelizm, korupcję, kłamstwo polityczne oraz nienawiść partyjną. Postulował aby politykę podporządkować tym samym normom moralnym, co życie prywatne. List prymasa nie był jedynie gestem, ale manifestem w obronie przyrodzonych praw człowieka, jasnym i precyzyjnym stanowiskiem Kościoła w sprawie uprawnień i powinności państwa. Oczywiście w tej beczce miodu jest i łyżka dziegciu. Pytaniem otwartym pozostaje, czy prymas mógł bardziej beceremonialnie zademonstrować swoje stanowisko wobec Brześcia. Po drugie, czy list nie był spóźniony?

List miał też swoje znaczenie w szerszej perspektywie. Myślę tutaj o przygotowywanej od dłuższego czasu przez reżim sanacyjny zmianie konstytucji. Zasadniczy dekalog – credo było już jasno wyłożone. Trzeba jednak przypomnieć, że już w 1931 r. Episkopat przedstawił rządowi swoje zapatrywania (postulaty) ustrojowe. Zwracano uwagę nie tylko na rozstrzygnięcia szczegółowe dotyczące uprawnień i relacji poszczególnych organów państwowych, ale na aksjologię konstytucyjną – odwołanie do Boga jako źródła władzy. Do konstytucji kwietniowej prymas Hlond ustosunkował się neutralnie życzyliwie. Inna sprawa, że akurat w sferze stosunków wyznaniowych nowa ustawa zasadnicza nie wносиła żadnych pokładów „rewolucyjnych”, a raczej powtarzała to co było zapisane w konstytucji marcowej. Kard. Hlond pozytywnie oceniał wzmocnienie jednolitej i niepodzielnej wła-

dzy prezydenta, kompetencje Senatu, eksponowaną w ustawie zasadniczej ideę elitaryzmu, a zwłaszcza zapis o odpowiedzialności głowy państwa „przed Bogiem i historią”. Było to zgodne z jego monarchistycznymi poglądami, których nie krył, co więcej krótko po wybuchu wojny uważał, że „nowa Polska”, która wyrośnie na zgłiszczach znów będzie królestwem. Czas boleśnie zweryfikował te oceny. Kard. Hlond nie wyraził też sprzeciwu wobec nowej ordynacji wyborczej z lipca 1935 roku. Ten skrajnie niedemokratyczny dokument faktycznie eliminował opozycję z życia politycznego. Nie wykluczone, że Prymas postrzegał to rozwiązanie jako konieczny lek na rozdrobnienie partyjne. Ale znów to tylko spekulacje.

12 maja 1935 r. zmarł Marszałek Piłsudski. Kończyła się pewna epoka, a wraz z nią powróciło „stare”. Sporów i kłótni nad trumną Piłsudskiego nie było końca. Wzięli w nich udział także duchowni, obudzeni z letargu. Prymas łagodził nastroje, studiował emocje. W momencie walki diadochów o władzę umiejętnie balansował między zwalczającymi się obozami i środowiskami. Miał dobre relacje właściwie ze wszystkimi, którzy rywalizowali o schedę po Piłsudskim, od Walerego Sławka, gen. Edwarda Śmigłego-Rydza, po „Zamek” Mościckiego. To dowodzi jego dyplomatycznych talentów. Cenili sobie Eugeniusza Kwiatkowskiego, wielokrotnie konferował z Ministrem Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego Zenonem Świątosławskim, premierem Felicjanem Sławoj-Składkowskim i innymi przedstawicielami elit władzy. Przed wyborami 1935 i 1938 ponownie zachował się kurtuazyjnie i zachowawczo, apelując o instynkt państwowy i spełnienie obywatelskiego obowiązku. O opozycji zapomniał, albo nie chciał pamiętać.

◀ Kard. August Hlond w trakcie przemówienia

Powstanie Obozu Zjednoczenia Narodowego przyjął z nadzieją na autentyczną konsolidację narodu. Wobec prawicy narodowej pozostawał konsekwentnie krytyczny, zjednoczenie chadecji pod szyldem Stronnictwa Pracy nie poparł wprost na co liczone, uważając zapewne, że nową partię tworzą politycy z „milionowej epoki”. Co nie oznacza, że z politykami opozycji nie utrzymywał przyjaznych relacji. W Ignacym Janie Paderewskim dostrzegał męża stanu, wielokrotnie spotykał się i korespondował z politykami reprezentującymi zarówno polityczne centrum, jak i prawicę. Gdy, jednak krótko przed wybuchem wojny polityczne i naukowe autorytety zwróciły się do niego z propozycją objęcia patronatu nad projektem reformy systemu politycznego dopuszczającego konstruktywną opozycję do współrządzenia, zadeklarował, że to ważna i cenna inicjatywa. Ale na tym koniec. Żadnych ruchów nie wykonał. Gdy docierały do niego prośby i apele o wstawiennictwo za prześladowanymi naukowcami, urzędnikami czy działaczami politycznymi, zazwyczaj odwracał wzrok. Zbywał je milczeniem, chowając nadesłaną korespondencję na dno szuflady – tak jak w przypadku aresztowanego wileńskiego docenta Stanisława Cywińskiego, oskarżonego o rzekomą „obrazę pamięci Marszałka”.

Swoją pragmatyczną drogą prymas Hlond kroczył nieprzerwanie, nie zbaczając z wydeptanej ścieżki. Rewersem tej politycznej taktyki prymasa było ciągle powtarzanie, że Kościół jest instytucją apartyjną i apolityczną, siłą rzeczy niepopierającą żadnego kierunku politycznego, patrzącą „nie w lewo nie w prawo a do góry, ku niebu”, wnosząc swój wzrok ku Stwórcy. Prymas Hlond konsekwentnie realizował misję Kościoła, zabierał głos w sprawie niebezpieczeństwa nazistowskiego i komunistycznego, zagrożenia ze strony masonerii i innych wrogich środowisk i prądów epoki. Bronił fundamentalnych zasad i wartości, z uporem nawoływał do walki o „Polskę katolicką”.

Zrozumienie i ocena strategii politycznej prymasa Hlonda to niełatwe zadanie, które moim zdaniem zasługuje na odrębne, rzetelne opracowanie książkowe. Jedno nie ulega wątpliwości: Prymas wierzył w konieczność koegzystencji Kościoła i państwa, dbając o ścisłe rozdzielenie spraw boskich od ziemskich. Kościół głosem swojego pasterza wkraczał w dziedzinę polityki tylko wówczas kiedy zagrożona została etyka, moralność, zasady wpływające z nauczania społecznego Kościoła. W innych sprawach nierzadko milczał, jak egipski Sfinks. Czy tak było zawsze? Opinię w tej sprawie mogą sobie wyrobić Czytelnicy, których zachęcam do pogłębienia problemu.

■ Autor jest historykiem i politologiem, profesorem Instytutu Historycznego US, pracownikiem Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Szczecinie.

Kardynał August Hlond a Kościół katolicki na Ziemiach Zachodnich i Północnych po 1945 r.

Twórca struktur Kościoła na tzw. ziemiach odzyskanych

dr Zbigniew STANUCH

Po kilku wiekach dominacji protestantyzmu na Pomorzu Zachodnim, po zakończeniu II wojny światowej, na wspomnianym obszarze doszło do znaczących zmian o charakterze wyznaniowym. Protestanci, niegdyś stanowiący większość, stali się religijną mniejszością. Zmiany jakie nastąpiły na tzw. ziemiach odzyskanych dokonały się m.in. dzięki konsekwentnym działaniom prymasa Polski kard. Augusta Hlonda. Zostały one przeprowadzone dzięki specjalnym pełnomocnictwom, które kardynał otrzymał w Stolicy Apostolskiej.

Jeszcze w lutym 1945 r., na Pomorzu Zachodnim oraz środkowym Nadodrzu mieszkało około 90 proc. ludności wyznania ewangelicko-augsburskiego. Katolicy stanowili mniejszość. Te proporcje uległy później znaczącej zmianie. W maju zakończyła się II wojna światowa. Konsekwencją zatwierdzenia decyzji o zmianie przebiegu granicy zachodniej, jaką podjęto podczas konferencji w Poczdamie, było rozpoczęcie akcji przesiedleńczej na Ziemię Zachodnią i Północną, które znalazły się na terytorium Polski. Wraz z ludnością cywilną na dawne niemieckie prowincje zaczęli przyjeżdżać duchowni wyznania rzymskokatolickiego. Jako pierwsi pojawili się chrystusowcy.

Tymczasem prymas Polski kard. August Hlond podczas pobytu w Rzymie przedłożył, 28 czerwca 1945 r., Świętemu Oficjum projekt organizacji Kościoła katolickiego w Polsce. Na ten temat Prymas najwięcej rozmawiał z ks. Domenico Tardinim, pełniącym wówczas funkcję sekretarza Kongregacji do Spraw Nadzwyczajnych Kościoła. To jemu kard. Hlond przedstawił szereg propozycji dotyczących odbudowy życia kościelnego i duszpasterskiego w Polsce. Omawiane zagadnienia dotyczyły np.: tworzenia kapituł katedralnych, władzy bierzmowania dla ordynariuszy bez sakry biskupiej, udzielania dyspens, obsadzania beneficjów zastrzeżonych dla Stolicy Apostolskiej, mianowania i odwoływania proboszczów, itp. Poruszano także kwestie polityczne głównie dotyczące relacji państwo – Kościół. Finał rozmów nastąpił 8 lipca. Kard. Hlond otrzymał od papieża Piusa XII specjalne pełnomocnictwa. Na ich mocy uzyskał prawo podejmowania działań kanonicznych, normalnie zastrzeżonych dla Stolicy Apostolskiej. Co ważne instrukcja nie przewidywała tworzenia nowych kościelnych jednostek na

terenach diecezji niemieckich, które po wojnie znalazły się w granicach Polski.

Kard. Hlond powrócił do kraju 20 lipca 1945 r. Od razu zajął się problemem uregulowania kwestii życia religijnego na tzw. ziemiach odzyskanych. 15 sierpnia powołał pięciu administratorów apostolskich, tworząc zarazem pięć nowych jednostek kościelnych. Mianował ks. Teodora Benscha na administratora apostolskiego diecezji warmińskiej; ks. Andrzeja Wronkę na administratora apostolskiego diecezji gdańskiej; ks. Edmunda Nowickiego na administratora apostolskiego w Gorzowie Wlkp.; ks. Karola Milika na administratora apostolskiego administratury apostolskiej we Wrocławiu (Dolny Śląsk) i ks. Bolesława Kominka na administratora apostolskiego Śląska Opolskiego.

Nowa jednostka kościelna powstała 15 sierpnia 1945 r., na Pomorzu Zachodnim i Ziemi Lubuskiej ze względu na swoją nazwę: Administracja Apostolska Kamieńska Lubuska i Prałatury Pilskiej, nawiązywała do historycznych biskupstw w Kamieniu i Lubuszu. Obejmowała terytorium liczące 47 836 km kw., czyli zajmowała 1/3 terytorium powojennej Polski. 1 września 1945 r. ks. Edmund Nowicki rozpoczął pełnienie funkcji administratora apostolskiego.

Odrębny problem dotyczył wyboru miasta, stanowiącego centrum nowej jednostki kościelnej. Brano pod uwagę Piłę, ale ze względu na znaczny stopień zniszczenia miasta pomysłu tego zaniechano. Rozważano kandydaturę Stargardu i naturalnie Szczecina, o co zresztą zabiegały władze stolicy Pomorza Zachodniego. Jako miejsce swojego urzędowania ks. Nowicki obrał Gorzów Wlkp. Nie zdecydował się na Szczecin, choć perturbacje związane z przynależnością tego miasta za-

kończyły się szczęśliwie dla polskich władz administracyjnych. Być może kluczowa była tu rozmowa jaką nowy administrator przeprowadził z prymasem Polski. „W każdym razie nie radziłbym w Szczecinie – powiedział kard. Hlond – dlatego, że Szczecin leży na peryferiach, a po drugie, że leży poza Odrą. Jeszcze nie wiadomo jak te mocarstwa ustosunkują się do naszych granic. Nie chciałbym, ażeby nasi sąsiedzi zachodni mieli wielką radość, gdyby polski biskup musiał wycofać się ze Szczecina. I dlatego, owszem, może byłoby dobrze przewidzieć tam miejsce na katedrę, na kurię biskupią, rezydencję i seminarium, ale nie radziłbym tam mieszkac”.

Decyzja o utworzeniu nowych jednostek kościelnych spotkała się ze sprzeciwem Episkopatu Niemiec. Prymasowi zarzucano przekroczenie nadanych mu w Watykanie uprawnień. On sam w piśmie z 24 października 1946 r., skierowanym do Stolicy Apostolskiej, tak usprawiedliwiał swoje działania: „Podczas spotkania z Jego Eksceleńcją Sekretarzem do Spraw Nadzwyczajnych [chodzi o ks. Tardiniego – ZS], które odbyło się przed moim wyjazdem do Polski, w lipcu zeszłego roku, Jego Eksceleńcja mówił mi o specjalnych przywilejach, które Ojciec Św. był łaskaw przyznać mi w celu szybkiej normalizacji życia religijnego w Polsce po straszliwych nieszczęściach ostatniej wojny. Jego Eksceleńcja wspominał także o nominacji Administratorów Apostolskich, a ja, wiedząc już trochę o ogromnych trudnościach występujących na ziemiach niegdyś niemieckich na wschód od Odry, pozwoliłem sobie zauważyć, że właśnie tam przydałoby się takie rozwiązanie, na co Jego Eksceleńcja dodał, na ile sobie przypominam: ale należałoby przedtem przedyskutować to z zainteresowanymi biskupami. Jak to mogłem stwierdzić dopiero w kilka miesięcy później, źle wówczas zrozumiałem te słowa, które utwierdziły mnie w przekonaniu, że mianowanie Administratorów Apostolskich na obszarach niegdyś niemieckich leży w zamiarach Stolicy Świętej, a że przed wcieleniem ich w życie należy zawiadomić o tym zainteresowanych ordynariuszy. Ta sprawa nie budziła we mnie najmniejszych wątpliwości. Podczas dwóch następnych spotkań z Jego Eksceleńcją, nie było już mo-

wy o tym szczególe, który dla mnie pozostał zupełnie jasny. Ten najważniejszy dokument papieski z 7 lipca 1945 został mi przekazany 10 lipca wieczorem, podczas gdy mój wyjazd był wyznaczony na 7 rano dnia następnego. Wyjechałem więc z Rzymu nie mając czasu na przeczytanie tekstu nadającego mi tak szerokie przywileje i z przeświadczeniem w duszy, że w sprawie Administratur Apostolskich Stolica Święta brała pod uwagę także ziemie do niedawna niemieckie. W tym moim błędzie utwierdziło mnie jedno zdanie Jego Eksceleńcji, w którym stwierdził, że przywilej został przyznany tak dla Polski dawnej (1939), jak i nowej (1945), czyli wliczając tak terytoria ustąpione Rosji, jak i terytoria niegdyś niemieckie, a administrowane obecnie (1945) przez rząd polski”.

Analizując tę kwestię należy pamiętać o tym, że decyzji podjętych przez kard. Hlonda Pius XII nigdy nie cofnął. Ks. Stanisław Wilk stwierdza nawet, że początkowo działania prymasa Polski spotkały się z pełnym zrozumieniem i aprobatą Stolicy Apostolskiej. Dopiero, gdy od października 1945 r., zaczęły napływać do Watykanu skargi ze strony Episkopatu Niemiec, Pius XII podjął decyzję o szczegółowym przeanalizowaniu zgodności decyzji podjętych przez kardynała z treścią zawartą w specjalnych pełnomocnictwach. Decyzji prymasa jednak nie zmienił, dzięki temu posługa duszpasterska na Ziemiach Zachodnich mogła być nadal prowadzona.

Inne ważne wydarzenie z udziałem prymasa Polski miało miejsce w 1947 r. Kard. Hlond pielgrzymował wówczas po Ziemiach Zachodnich, chcąc niejako naocznie przekonać się o sytuacji Kościoła katolickiego, który stopniowo odradzał się do nowego życia na terenach należących uprzednio do Niemiec. Podróż trwała od 25 do 30 października 1947 r. Prymas odwiedził: Rokitno, Gorzów Wlkp., Szczecin, Goleniów, Kołobrzeg, Koszalin, Miastko, Szczecinek, Jastrowie, Złotów, Zakrzewo.

Do Goleniowa zawiązał 26 października. Na przykładzie tej miejscowości widać jakie utrudnienia spotykały prymasa ze strony lokalnych władz. Zresztą z wizytą w tym mieście związana jest ciekawa historia, jak dotąd nie do końca wyjaśniona. W Goleniowie pojawił się

w samo południe, choć pierwotnie miał być o godzinie 9. Przez trzy godziny funkcjonariusze MO sprawdzali dokumenty jego i towarzyszących mu osób. Ponadto na trasie ze Szczecina Dąbia do Goleniowa zostały rozrzucone gwoździe. Gdy wjechał do miasta, na krótko zatrzymał się przy ulicy Słowackiego. Kolejnym celem jego podróży był Kamień Pomorski, lecz nieoczekiwanie zmieniono trasę i pojechał przez Nowogard do Trzebiatowa, następnie do Kołobrzegu, aby na spoczynek zatrzymać się w Koszalinie. Rodzi się pytanie, dlaczego tak nagle trasa pielgrzymki kardynała została zmieniona? Trudno o jednoznaczną odpowiedź. Jedną z hipotez mówi o tym, że w lasach koło Stepnicy przygotowano na niego zasadzkę. W owym czasie droga z Goleniowa do Kamienia Pomorskiego wiodła przez Stepnicę. Obecnie jest to jedna z alternatywnych dróg dojazdowych nad morze. Na którym odcinku miałyby dojść do zasadzki, niestety nie wiadomo. Wiemy jedynie, że ks. Edward Nowicki powiedział do ks. Franciszka Włodarczyka: „Mielśmy jechać do Kamienia Pomorskiego, ale nie pojedziemy tam. Pojedziemy przez Nowogard i Trzebiatów. Niech ksiądz zawiadomi o tym telefonicznie księdza dziekana z Kamienia Pomorskiego i powie mu, aby ludzie nie czekali na nasz przyjazd. Niech ksiądz zadzwoni z poczty, ale dopiero godzinę po naszym odjeździe”. Tymczasem mieszkańcy Kamienia Pomorskiego nie wiedząc o zmianie trasy, wysłali do Goleniowa motocyklistę, który po przyjeździe do Goleniowa opowiedział ks. Włodarczykowi o tym, że w lasach stepnickich funkcjonariusze UB przygotowują zasadzkę. Na koniec stwierdził: „Lepiej, że ksiądz prymas nie będzie tamtędy przejeżdżał”.

Nie ulega wątpliwości, że to ówczesny prymas Polski położył fundamenty pod budowę i rozwój nowych struktur kościelnych na Pomorzu Zachodnim i Ziemi Lubuskiej. Zapoczątkowane przez niego dzieło w kolejnych latach kontynuował kard. Stefan Wyszyński.

■ Autor jest z wykształcenia historykiem i teologiem, doktorem nauk teologicznych w zakresie historii kościoła, pracownikiem Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Szczecinie.